

Groteskowy ~ A gotyk Epicki

przez GE Graven



Rozdział X



Piekło i Historia były teraz tak splecione, jak grzechy, które od dawna nękały potężny Babilon. Tak jak to się stało w 1331 roku, odosobniona świątynia w środkowych Chinach eksplodowała, a z jej najpilniej strzeżonej tajemnicy martwy ptak poniósł przesłanie Lucyfaela przez krainy. Przez siedemnaście odrażających lat, cuchnący odór rozkładu unosił się nad Królestwem Mongolii niczym boska i złośliwa miazma – Czarna Śmierć była chorobą diabła . Rozchodząc się z serca kontynentu, śmiercionośny napój Lucyfaela kontynuował rozkład rozległego Królestwa Azji, a do 1347 roku fala śmiertelności i chorób dotarła aż do jego najdalej na południe wysuniętych wybrzeży, docierając do Morza Czarnego. i jej nowo powstałe genueńskie miasto portowe Kaffa.

Morze Czarne – Kaffa – październik 1347

Po odkryciu przez Genueńczyków wodnego szlaku handlowego na Daleki Wschód i Krym, azjatycki port Kaffa przekształcił się w kwitnącą bramę dla genueńskich kupców, którzy gromadzili rzadkie i bezcenne towary z mongolskiego Jedwabnego Szlaku i wysyłali je do różnych królestw w całej Europie. Jednak pod koniec 1347 roku Jedwabny Szlak przyniósł swoim chętnym genueńskim kupcom zupełnie inny dar: dżumę dymieniczą.

Otoczone murami miasto Kaffa natychmiast zamknęło swoje bramy, chroniąc się przed dalszą infekcją, podczas gdy gdzie indziej Mongołowie gnili, nieprzerwanie i tysiącami. Złe wieści o genueńskich rzemieślnikach rozprzestrzeniły się równie szybko, jak choroba – wieści, że cudzoziemcy z Zachodu sięgnęli po swoją „złą chrześcijańską magię”, by rzucić Matkę Wszystkich Klątew. Ocalali wodzowie zjednoczyli się, tworząc armię mongolskich Tatarów, którzy ruszyli na ufortyfikowane miasto, próbując zepchnąć kolonialną bestię z powrotem do morza, skąd nadciągnęła. Jednak dzięki szeregom obronnym złożonym z kuszników, włóczników i dysponującym lepszymi strategiami, Kaffa rościła sobie prawa do swoich ziem krymskich.

Kiedyś spokojna okolica powoli się zmieniła: tam, gdzie przez nieprzerwane lasy niósł się orzeźwiający zapach jesiennych liści i śpiew ptaków, teraz powietrze niosło dźwięki i zapach narastającego konfliktu – dudnienia kopyt na zamrożonej ziemi – skóry, potu, odpadów i długotrwałej gnicia – odległych krzyków i ryczących bestii. Początkowo sporadyczne, ataki na miasto stawały się coraz bardziej zorganizowane i zaciekle w miarę rozwoju kampanii. Mimo to Genueńczycy trzymali Mongołów na dystans przez trzy wyczerpujące miesiące – aż Tatarzy zniszczyli wały obronne Kaffy falą za falą mściwych, szarżujących, wrzeszczących i niezwykle honorowych Mongołów. Wiosną 1347 roku, gdy pogoda się ociepliła, kwiaty rozkwiły, genueńska krew sączyła się z murów miasta. Z niedoborem żywności i sprawnych ludzi, opuszczeni mieszkańcy pogodzili się z nieuniknionym finałem – że Tatarzy staną o krok od zdobycia miasta.

Jednak losy bitwy się zmieniły, gdy Tatarzy doświadczyli dość niezwykłego i być może bosko zamierzonego zrzędzenia losu. Wiatry zmieniły kierunek, a gorący oddech Lucyfaela owiał nacierające armie, gdy zaraza w końcu przeniknęła szeregi tatarskich hord. W ciągu zaledwie kilku dni cała okolica przesiąkała cuchnącym rozkładem gnijących Mongołów, a w powietrzu, na mile w każdym kierunku, unosił się zapach gnijącego ludzkiego ciała. Przerażeni tatarscy władcy ujrzeli, jak ich ogromne szeregi padają, gdy całe legiony padały; rozdęte, poczerniałe i zdziesiątkowane przez choroby.

Nic dziwnego, że Tatarzy poczuli się dotknięci i zawstydzeni swoim niedawno osłabionym stanem – darzyli swoje kulturowe i religijne troski najwyższym szacunkiem; czcili je z honorem większym niż strach przed utratą życia. W większości ślepi na tak surowe pojęcia społeczne, które były uwydatniane przez wieki nieustającej indoktrynacji, mongolscy wojownicy cenili tylko jeden sposób życia i akceptowali tylko jeden rodzaj śmierci. Dla Mongołów życie i śmierć były czarne lub białe, bez żadnego rozróżnienia w kwestiach godności i hańby. Dla nich śmierć w bitwie była honorowa, w przeciwieństwie do śmierci z powodu choroby, która hańbiła całą ich rodzinę i na zawsze naznaczyła i

ocalałych naznaczonych społecznym piętnem nieczystego pochodzenia.

Ponieważ wielu Mongołów oszalało z gorączki, dręczeni koniecznością wykazania się najwyższym honorem Śmierć, w masowych samobójczych atakach na mury Kaffy, przyniosła śmierć. Maruderzy, zbyt słabi, by walczyć, wytaczali się i stawali przed murami niczym ceremonialni nędznicy i żebracy o godność, tęskniąc za łagodną genueńską kuszą, która ukołoby ich cierpienie i ocaliła ich rodziny przed nieuchronnym i haniebnym wyróżnieniem. Być może, w ramach domniemanego odkupienia, tatarscy wojownicy rzucili się na podstawę fortyfikacji miasta, poświęcając swoją przewagę liczebną na rzecz stale rosnących schodów z rojów much, pozwalając swoim mongolskim towarzyszom wspiąć się na ich najbardziej zasłużone szczątki i wspiąć się na mury.

W miarę upływu dni, gdy słońce chowało się za wieczornym niebem, a wiatry znad morza skręcały w stronę morza, genueńscy koloniści tonęli w ostrym odorze tysiąca Zgorzkniali Tatarzy. Mimo to utrzymali miasto, modląc się, aby zaraza w końcu zdławiła wolę mongolskich mas. Pomijając liczebność i fortyfikacje, czas nie był sprzymierzeńcem żadnej z armii, ponieważ Genueńczycy wyczerpywali swoje zapasy równie szybko, jak zaraza zabijała nowo zwerbowanych wojowników tatarskich. Mogło się więc wydawać, że obie armie znalazły się w impasie.

Jednakże, jak dobrze wiedziała Historia, przy każdym zastosowaniu Sztuki Wojny Człowiek był jedynie jednorazowym pionkiem. W końcu Sztuka Wojny nie była ziemskim projektem – była ściśle boskim wynalazkiem, pomyślanym jeszcze przed powstaniem Piekieł, kiedy legiony niebiańskich Aniołów uzbroiły się przeciwko swoim ziemskim braciom i siostram: Strażnikom, wraz z ich Wodzami Dziesiątek. A jedna Siostra Anielska, w szczególności, znała projekt wojny. Podobnie jak Anioł Apollo, Lucyfael był również jednym z czołowych i ulubionych Aniołów Boga, wtajemniczonym w większość Jego Wielkiego Planu, w tym Sztukę Wojny i Podboju. Jednak w przeciwieństwie do nieco łagodnego upadku Apollina z Łaski, zaraz po jej upadku, Lucyfael wykorzystała swoją przenikliwą wiedzę o stworzeniu i zniszczeniu, by wpłynąć na Człowieka, dostarczając mu nowych narzędzi i strategii do prowadzenia coraz skuteczniejszych wojen z Jego braćmi – kanon, długi łuk i przebijająca pancierz strzała- szpikulec były jedynie najnowszymi narzędziami zniszczenia, zaprojektowanymi za sprawą intymnych szeptów jej złowrogich rad. Teraz szeptała nowe sekrety i po raz kolejny sztuka wojenna rozwinęła się, obejmując śmiercionośną nową koncepcję Lucyfaela. Kiedy zatrąła uszy umierających władców Tatarów swoimi nikczemnymi szeptami, do jej raczej nikczemnej strategii zagłady ludzkości: wojny biologicznej.

Zdeterminowani, by wyprzeć Genueńczyków i po otrzymaniu nowych rewelacji od Lucyfaela, Lordowie

zwołał flotę trzynastu swoich największych katapult, nakazując swoim armiom rzucenie Zanieczyszczone ciała poległych towarzyszy wlewały się w serce zamkniętego miasta. Równomiernie rozrzucone po murach Kaffy, maszyny śmierci nigdy nie zaznały spoczynku. Dzień i noc, bez ustanku, niewyczerpane dostawy dotkniętych zarazą Mongołów spadały na genueńskie miasto, przebijając się przez dachy i miażdżąc niczego niepodważających przechodniów. Przy tak bezbożnym tempie, koloniści nie byli w stanie spalić ciał tak szybko, jak Tatarzy wyrzucali je za mury. A upiorny odór palonych włosów i skóry mieszał się z istniejącym zapachem gnijącego ciała, wypełniając zamkniętą osadę duszącym smrodem. Piekło ogarnęło Kaffę. Na szczycie najwyższej gałęzi wiśni, samotna wrona krakała dwa razy – i raz po raz.

Otoczona, z niemal całkowicie wyczerpanymi zapasami, Kaffa przygotowała flotę trzynastu największych statków oceanicznych, przygotowując je do szybkiego wypłynięcia. Genueńscy żeglarze, żołnierze i kupcy ograbili miasto ze skarbów, wypełniając ładownie statków wszystkim, co bezcenne: złotem i srebrem; azjatyckim jadeitem i kamionką; garbowanymi skórami i futrami w tobołkach; surowymi kamieniami szlachetnymi i rzadkimi klejnotami; oraz beczkami przypraw i perfum. A gdy już całkowicie załadowali kadłuby floty, zdarli poszycie z drewnianych konstrukcji miasta, otaczając pokłady statków jeszcze wyższymi murami, by pomieścić dodatkowy ładunek, który pozostał. Gdy miasto zostało pozbawione najcenniejszych dóbr, dwanaście statków wymknęło się z portu pod osłoną ciemności. Załoga Trzynasty pozostał w tyle. Doszczętnie spalając miasto, pozostawili za sobą huczący pożar płonących budynków, doganiając wycofującą się armadę.

Santa Godeberta była największym i najbardziej zdatnym do żeglugi z trzynastu kog. Jej masywne, kolumnowe belki poprzeczne rozpięte były na podwójnie wzmocnionym kadłubie z klinkierowych desek, a dzięki potężnemu masztowi, rei i żaglowi eskortowała swoją ciężką flotyllę w kierunku Genui. Jej załoga zmodyfikowała od tego czasu pokład, dodając deski pożyczone z budynków Kaffy, które tworzyły podwyższoną ścianę nad burtami. Przygotowując się do pełnego morza, metalowe klamry zakotwiczały sieć lin, które zabezpieczały jej nadmiernie obfity ładunek na pokładzie.

Większy niż większość oceanicznych statków handlowych, był najnowszą konstrukcją i dumą genueńskich stoczniowców. Nad rufą, pokrytą ładunkiem, znajdował się pokład rufowy w kształcie litery U. Pokład, a nad przednim pokładem, wygodny pokład dziobowy rozciągał się nad prostym dziobem. Nawet bez dziesiątek ton ładunku Kaffa, statek wypierał prawie sto czterdzieści cztery tony wody. Był to prawdziwy morski potwór, o ile w ogóle taki istniał. Nie była jednak pusta, lecz wypełniona po brzegi, brzuchem ciężko zanurzonym w wodzie, a dwanaście wiosł przylegało do fal oceanicznych. To był dopiero jej ósmy rejs z Kaffy do Genui i miał się okazać najbardziej uciążliwy. Znacznie ponad jej

Przy takiej pojemności, najmniejszy pech czy błąd w obliczeniach mógł z pewnością postać ją wraz z dwudziestoma czterema marynarzami na dno oceanu. Pod osłoną porannych gwiazd i w stałym wietrze wiejącym od morza, Santa Godeberta prowadziła swoją ciężko obciążoną flotę przez spokojne Morze Czarne, ku ciemnemu horyzontowi, w kierunku ojczyzny .

Tuzin ciężko załadowanych statków handlowych płynął ciężko na niskich liniach wodnych; przeciążone belki kadłuba trzeszczały i jęczały w kłębach morskiej bryzy; a w kadłubach wypełnionych skarbami unosił się zapach solanki i zgnilizny. Mężczyźni, kobiety i dzieci zapełniali każdy cal na pokładach, lecz nie padło ani jedno słowo — nieliczne niemowlęta na pokładzie były zbyt słabe, żeby płakać. Rzeczywiście, genueńscy koloniści uciekli przed latającymi tatarskimi trupami ze wszystkimi swoimi skarbami, pozostawiając zazdrosnym azjatyckim wrogom jedynie spaloną ziemię. Jednak, choć ich ucieczka mogła się wydawać czysta i łatwa, nie wzięli pod uwagę interwencji Aniołów – kiedy Lucyfael miał udział w Historii, zasiała jej korzenie, często zaszywając przyszłość z gorzko-słodką perspektywą. Genueńczycy byli bezpiecznie z dala od Kaffi. Jednak nie udało im się uniknąć strasznego przeznaczenia, które przebiegle zaplanował Lucyfael. Już po kilku dniach rejsu członkowie floty zachorowali śmiertelnie. Ocalali marynarze wyrzucali ofiary za burtę, jednocześnie poddając kwarantannie narastające objawy choroby pod pokładem rufowym. i w pobliżu rufy swoich statków. Zyskali wystarczająco dużo czasu, by powstrzymać śmiertelną zarazę, polewając pokład wiadrami solanki, by zmyć wydalone odpady i płyny zakażonych. Nawet przy tak trafnie zastosowanych środkach ostrożności nie mieli pojęcia, że ich towarzysze byli mniejszym źródłem zakażenia niż pasażerowie na gapę, którzy ukrywali się pod pokładami ich statków. A kiedy armada okrążyła

Na najdalej na południe wysuniętym krańcu Włoch liczba umierających przewyższała liczbę żyjących prawie dwa do jednego. W drodze, ciągnący się za nim statek marynarzy, który spalił Kaffę doszczętnie, odpadł od floty, dryfując bez celu, niknąc w płaskim horyzoncie oceanu. Dwanaście statków parło naprzód niczym uparcie dryfujące trumny, przemierzając jałowe morze i napędzane jedynie przez... Pragnienie zobaczenia genueńskiego portu. Jednak desperacja ostatecznie wytyczyła kurs Santa Godeberta w kierunku morza. Z zawodnymi marynarzami, którzy obsługiwali jej takielunek, i Genuą wciąż zbyt daleko, by dopłynąć, skierowała dziób i flotę w stronę najbliższego portu morskiego, Mesyny na Sycylii.

Z zaledwie tuzinem pełzających statków handlowych, obsadzonych przez uciekającą ludność i garstkę umierających marynarzy, Flota Czarnej Śmierci przetrwała historię i została zapamiętana jako najgroźniejsza, źle wyposażona armada, jaka kiedykolwiek pływała po wodach europejskich. I z wód pod Ziemią – zadrwił Lucyfael.

Ujście Góry

Zachodzące słońce zniknęło za ponurymi, późnojesiennymi chmurami, pozostawiając nad sercem Francji czarny i nieprzyzwoicie zimny wieczór. Trzasnęła gałąź drzewa; zaszczekał pies; jednak żaden inny dźwięk nie mącił cichej i bezwietrznej nocy. Pod ziemią, odgłos ciężkiego oddechu chłopca niósł się przez ciemność, gdy głęboko w trzewiach Mountain Mouth, odziana w szatę postać z trudem wspinała się stromym przejściem ku grotcie, niosąc napełniony bukłak na wodę przewieszony przez ramię. Sylwetka upuściła bukłak przy ścianie jaskini i nagle skierowała uwagę na słabnący ogień. Świeże drewno i nowy płomień odstąpiły Łazarza, którego kaptur schował się za sznurowym pasem. Długie czarne włosy okalały brudną i ponurą twarz chłopca, a jego oczy migotały niczym lśniące szafiry w blasku ognia. Poza jednostajną mgiełką oddechu, jedynie ruch źrenic zdradzał tę nieruchomą chwilę, pęczniąc i kurcząc się w świetle słabnącego ognia.

Łazarz siedział na kamieniu. Próbując przepędzić nieustanny chłód, który dawno już osiadł w jego kończynach, naciągnął kaptur szaty, oparł stopy o rozżarzone węgle i ogrzał dłonie przed nowym blaskiem. Jednak płomień pięły się coraz wyżej, Ogień trzaskał, a źrenice Łazarza były jak dziurki od szpilek na tle błękitnych kręgów. Odsunął się od piekielnego żaru, który teraz pochłaniał wszelkie ślady chłodu z grotty. Wysoko nad głowami pomarańczowe odcienie i przesuwające się cienie tańczyły na kurczowo przylegającej masie tysiąca nietoperzy; ich ogromna liczba oczu odbijała się w blasku ognia, naśladując Ciemne niebo z migoczącymi gwiazdami. Dym unosił się spiralnie, gromadząc się pod sklepieniem grotty. Garstka nietoperzy wzbijała się w powietrze i okrążyła jaskinię. Łazarz zdjął kaptur z głowy i sprawdził, czy z jego oddechu nie unosi się mgła, która już zniknęła. W szybko nagrzewającej się jaskini zaczęły się poruszać kolejne nietoperze.

Chłopiec, odchodząc od ogniska, wpatrywał się w nietoperze i wspinał się po nieregularnych rzędach tarasowych półek skalnych, kierując się ku górnym partiom jaskini, od czasu do czasu odwracając się, by przyrzeć im się z jeszcze wyższej perspektywy, zanim kontynuował wspinaczkę. Morze czarnych, paciorkowatych oczu śledziło jego miarowe wspinanie się w górę; jednak nietoperze nie uciekły, jak początkowo przypuszczał. Zamiast tego, pozostały niewzruszone przy suficie, najwyraźniej równie zaciekawione Łazarzem, jak on sam. Chłopiec wciągnął się na najwyższą półkę skalną. Wstał i wygładził szatę, jednocześnie badając sklepienie grotty z jego licznymi wpatrzonymi oczami.

„Ciepło ci?” zapytał na głos. „Nauczysz mnie?” Nagły okrzyk chłopca poniósł się po dziupli i kilka nietoperzy zeskoczyło z gniazd, by dołączyć do innych, które już krążyły nad jaskinią. W ich ślady poszły kolejne, a grotta zawirowała od trzepotu skrzydeł.

Ogólnie rzecz biorąc, mogło się wydawać, że na zmianę demonstrowali swoją wartość dla kolonii, podczas gdy masy czekały cierpliwie, niczym niebiańscy sędziowie, aby ocenić powietrzne zdolności kolejnego demonstratora. I nawet jeśli nie byli osądzani, Lazarus z pewnością bacznie obserwował tych, którzy zdecydowali się latać. W końcu chłopiec się rozebrał. Niewzruszenie na półce skalnej, usiadł w samym tylko odzieniu, prócz przepaski biodrowej i rękawiczek. Jego własne, wspaniałe, nietoperzowate skrzydła rozpostarły się i rozpostarły, naśladując ruchy skrzydeł swoich małych nauczycieli. Choć każdy nietoperz był inny, Łazarz dostrzegł, że w locie ruchy jego skrzydeł były identyczne jak u wszystkich pozostałych – skrzydła złożone w miseczki i uderzające w górę, skrzydła twarde i rozwarłe z nagłym spowolnieniem, a także skrzydła złożone do szybkiego nurkowania. Jego oczy błysnęły; skrzydła wystrzeliły w powietrze; mózg płonął, gdy rozważał metodologię – liczne formy i niezbędne metody widoczne w sztuce lotu nietoperza. Tak się złożyło, że przez większość wieczoru uczył się od swoich jaskiniowych towarzyszy.

Na godzinę przed świtem nietoperze zamknęły swoje czarne, paciorkowate oczy, oddając się krainie odwróconych marzeń, a Lazarus odszedł od swoich wieczornych lekcji. Zmęczony, głodny, zmarznięty i z obolałymi skrzydłami, Lazarus wślizgnął się z powrotem w szaty i zszedł na dno groty. Rozpalił ogień i wyciągnął prowiant ze swojego worka z prowiantem. W końcu usiadł na kamieniu przed świeżymi płomieniami, z bukłakiem na wodę obok, i żarłocznie zjadał się płaskim chlebem i paskami solonego mięsa. Przesunięcie w cieniu przykuło jego uwagę.

Żółte oczy zaświeciły!

„Syk!” Łazarz wypluł jedzenie, spadł z kamienia i zaczął się cofać, gdy w wejściu do groty ujrzał parę błyszczących, oderwanych oczu, które zdawały się unosić w ciemności. Niczym bliźniacze księżycy, unoszące się nad dnem jaskini, kule te oświetlały Łazarza odbijającym się światłem ognia.

„Kto tam idzie?” – Lazarus zdołał odpowiedzieć na pytanie, odchylając uszy do tyłu i szeroko otwierając żrenice. Oczy ani razu nie mrugnęły. Węszył w powietrzu i uniósł uszy, by wyczuć słaby zapach i nieregularny oddech zwierzęcia, które również wywąchiwało powietrze.

Wtedy czarny dzik parsknął i wyszedł z cienia korytarza. Łazarz westchnął z ulgą. Wstał i otrzepał kurz z szaty, chichocząc przy tym. „No cóż, Jesteś świnią! Widziałem takie jak ty – w książkach!” Wystraszony dzik odwrócił się w stronę wejścia do groty, ale zatrzymał się i spojrzał na Łazarza.

„Och, nie odchodź! Nie chcę ci zrobić krzywdy. Usiądę teraz”. Łazarz opadł na kamień i siedział w milczeniu. Dzik odwrócił się do Łazarza i zrobił kilka małych kroków, wdychając powietrze, gdy się zatrzymał.

„Jesteś głodny, prawda?” zapytał Łazarz. Podniósł pasek mięsa leżący obok jego stopy i przedstawił go w dobrym świetle. „Chodź. Jedz.” Dzik trzymał się na dystans.

„Weź je”. Lazarus rzucił mięso zaledwie kilka stóp od zwierzęcia. Nerwowo spoglądało to na Lazarusa, to na resztki jedzenia; w końcu wyszło, powąchało i pożarło mięso. Potem wpatrywało się w Lazarusa, jakby czekając na więcej.

„Ty też lubisz chleb? Nie przepadam za nim – jest za suchy”. Łazarz rzucił duży kawałek chleba. Dzik go podniósł i wyczołgał się z groty.

„Czekaj! Nie odchodź!” – Lazarus ruszył w pogoń. W zewnętrznej jaskini skręcił za róg, by dotrzeć do wejścia, i dostrzegł dzika wspinającego się na skalisty grzbiet. Nad wzgórzem niebo przesłoniły szkarłatne chmury – wczesny wschód słońca. Lazarus gwałtownie zniknął w ciemności. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpany. Powłókł się z powrotem do groty.

W ciągu następnego tygodnia Lazarus kontynuował naukę, wzmacniając skrzydła na tyle, by móc unieść się nad podłogę. Jednak skrzydła były nadal zbyt słabe, by utrzymać jego ciężar, dlatego mógł wykonywać jedynie krótkie loty na małej wysokości pomiędzy kamieniami na dnie jaskini .

Z biegiem czasu Lazarus przyjął ten sam harmonogram co nietoperze, śpiąc w ciągu dnia, aby móc je obserwować, gdy są najbardziej aktywne. Noce stawały się chłodniejsze z powodu nawracających przymrozków, a gdy stos drewna na opał malał, opuszczał jaskinię, aby zebrać drewno z tyłu Mountain Mouth. W miarę jak dym unosił się z ognisk , coraz więcej nietoperzy opuszczało jaskinię, szukając niezakłóconych schronień gdzie indziej. Gdy prawie jedna czwarta z nich zniknęła, Lazarus zaczął dostrzegać jałowe miejsca na suficie, które kiedyś zakrywały. Jednak w tych dniach uwaga Lazarusa nie była już skupiona wyłącznie na nietoperzach, ponieważ po lekcjach, dokładnie o wschodzie słońca, dzik zaczął odwiedzać Mountain Mouth, aby dołączyć do niego na kolację. I tak też się stało.

Sycylia - Port w Mesynie

Elegancko ubrany sycylijski chłopiec stał blisko brzegu, gdy stado mew rzuciło się na niego, zbierając okruchy łamanego chleba. Jego długie, czarne włosy i jaskrawe ubranie powiewały na silnym wietrze. Uniósł ostatni kęs manny ku niebu, z zamkniętymi oczami i wykrzywioną twarzą. Mewa wyrwała mu go z palców, a on szarpnął ręką w dół, chichocząc. Chłopiec osłonił oczy przed oślepiającym słońcem, splatając palce na czole i wpatrując się w południowo-zachodni horyzont oceanu. Pojawiły się dwie plamki – a potem trzecia.

„Mamo! Statki!” – zawołał chłopiec przez ramię, wskazując w stronę morza. „Cztery! Pięć statków! Więcej!”

Santa Godeberta poprowadziła swoją ciężką flotę statków handlowych do portu w Mesynie. Z niską rufą i wysokim dziobem przecinała falujące morze, usiane okazałymi i kosztownymi pozostałościami po upadłym mieście. Jak statek widmo, jej opuszczony pokład lśnił od nieustannej morskiej bryzy; wciąż bez widocznej załogi kierującej jej kursem. Ani żeglował, ani nie zbaczał z kursu na falach oceanu. Choć tkwił głęboko w wodzie, nawet z wieloma tonami nieporęcznego ładunku, jedynie garstka pcheł i kosz szczurów mogłyby naprawdę unaocnić wagę jego ładunku. Nie cięższy niż worek ryżu, nieznaczny ciężar tych owadów i gryzoni okazałby się zdolny złamać kręgosłupy milionów ludzi, zburzyć filary i płyty każdego europejskiego królestwa i zrównać z ziemią cały kontynent.

Tłum pieszych i przechodniów zebrał się na nabrzeżu, by zobaczyć rzadkie widowisko swoich czasów: flotę potężnych statków, zdolnych, jak się zdawało, do żeglowania nawet po najrozleglejszych i najbardziej zdradliwych oceanach. Setki żądnych przygód chłopców i zaniedbanych wieśniaków ustawiły się wzdłuż nabrzeża. portu, próbując przejąć większą część skromnej przestrzeni doku, znajdującej się najbliżej pali linowych. Ubiegali się o pozycję najemników do rozładunku towarów. Przy tak dużej flocie byli pewni, że wybrani do rozładunku otrzymają hojne wynagrodzenie w wysokości kilku dni pracy. Praca była w pogotowiu. Mężczyźni narzekali i popychali się nawzajem, podczas gdy zapaśnicy ubijali kurz. Ludzie tłoczyli się w porcie, gdy zatłoczony tłum wylewał się na ulice. Tętniące życiem miasto zamarło, zatrzymując się, by obserwować zbliżającą się armadę. Coraz bardziej oczywiste dla wszystkich obserwatorów było, że doki nie były w stanie bezpiecznie zabezpieczyć tak monstrualnej floty. Mimo to flota parła naprzód, zasłaniając horyzont swoją stale rosnącą obecnością.

Krzepki kapitan portu i dwóch jego kowali portowych stali na wysoko położonym pomoście z bali, górującym nad zatłoczonym dkiem. Zirytowany kapitan machnął czerwonym sztandarem w stronę zbliżających się statków, dając im sygnał, by się zatrzymały i trzymały mocno. „Zgadza się, panie kapitanie. To nie nasze statki – może portugalskie” – powiedział jeden z kowali portowych, mrużąc oczy i patrząc w stronę morza.

Drugi tragarz poklepał kapitana po owłosionym ramieniu. „Przybyli, proszę pana”. Mężczyzna opuścił sztandar i spojrzał przez ramię, dostrzegając szeregi uzbrojonych żołnierzy przebijających się przez tłum. Oślepiające światło ich hełmów i ruch ich wydłużonej formacji mogły przypominać ognistego robaka, rozstępującego morze głów, gdy wił się w stronę nabrzeża. Skinął głową i ponownie skupił uwagę na nieustępliwej flocie, machając sztandarem w desperackiej próbie wywołania – jednak bezskutecznie, gdyż Santa Godeberta przekroczyła zewnętrzne granice portu w Mesynie.

Obawy kapitana były wyraźnie widoczne dla jego kowalskich, którzy również stali w

strach przed flotą, która teraz pędziła w ich kierunku, jakby żeglowała mocno i mocno na pełnym morzu. Zgodnie ze zwyczajem i przepisami dotyczącymi bezpiecznego cumowania większych statków, takich jak żagle miały być przymocowane do rei, a wiosła wyciągnięte i używane podczas nawigacji przez port. Jednak zaledwie połowa żagla Santa Godeberta była przymocowana do rei – reszta pozostała rozwinięta i niesiona przez wiatr. Splątane liny olinowania głównego zwisały wokół masztu i rei. Ponieważ tylko trzy wiosła poruszały się słabo, niewiele to pomogło w ograniczeniu prędkości.

„Napierają na nas z całych sił, kapitanie” – wykrzyknął jeden z kowalskich. „ Za nimi morze jest długie !” Wskazał na statek, który płynął tuż za Santa Godebertą, z pełnym żaglem i bez wioseł. „A następny – toczy się jak beczka po desce – żagiel jest szeroko rozłożony! Spójrz na nią, kapitanie, pędzi szeroko”.

„Otwórz! Czy mam zadzwonić?”

Kapitan zakrył usta dłonią, machając sztandarem i krzycząc w stronę zbliżającej się floty, która zaczęła wypełniać zatokę. „Szybko! Zbierzcie reje! Obróćcie dziób na rufę! Obróćcie...”

Jeden ze statków rozbił małą łódź rybacką, ciągnąc część jej szczątków za własną sieć, która zaplątała się na dziobie. Kapitan zrzucił sztandar i nakazał swoim kutrom portowym kontynuować cumowanie.

Rzucili się na jego komendę. Jeden z nich odwrócił się, chwycił zawieszony metalowy młotek i zadzwonił w duży, rurowy dzwon. Drugi mężczyzna krzyczał ponad ogłuszającym biciem dzwonów, machając rękami i nakazując tłumowi opuszczenie nabrzeża. Wybuchła panika, gdy tłum tratował się w pośpiechu, uciekając z brzegu portu. Krzyczący żołnierze rozproszyli się w desperackiej próbie utworzenia bariery.

Liczne oczy tłumów Messyny wpatrywały się w Santa Godebertę, gdy przecinała białe grzywy fal, ziejąc jednostajnym strumieniem oceanu spod potężnego dziobu – niczym szalejący potwór morski, który z determinacją wylądował na mieliźnie. Kapitan portu i jego dwaj ludzie wyskoczyli z wieży obserwacyjnej, gdy rzędy desek nabrzeża i pali eksplodowały pod miażdżącym ciężarem przeładowanego statku. Cały port zatrzęsł się od siły uderzenia. Zniszczona wieża zawałiła się na głowę tłumy, gdy statek osiadł na mieliźnie, przewracając się na szereg żołnierzy i miażdżąc ich o linię brzegową. Ledwie Santa Godeberta wylądowała na żołnierzach, Drugi statek wpadł do portu, ocierając się o jej rufę i ocierając się o prawy róg, po czym gwałtownie skręcił, uderzając lewą burtą o nabrzeże i niszcząc rozległy fragment drewnianego doku. Port ponownie zawył, rycząc od huku i krzyków oszołomionej ludności. Dziesięć kolejnych ciężkich

Statki wtaczały się do portu, prezentując się niczym potężna ściana drewna, lin i żagli, która zdawała się pochłaniać zatokę. Nie było żadnych oznak załogi na masztach, rejach ani pokładach. Port morski w Mesynie sprawiał wrażenie oblężonego przez flotę widmowych statków.

I cóż, gdyby nie pozorna boska interwencja, kadłuby obu statków pozostały nienaruszone, nawet gdy znaczna część nabrzeża portowego leżała zniszczona, przyciśnięta do brzegu niczym sterta drzazg. Tuż za nimi do zatoki wpełzło dziesięć kolejnych statków, w końcu zwalnając. W obliczu masy nieproszonych jednostek, ludzie biegali jawnie niczym rozszalałe owady; port pogrążył się w chaosie. Z dziobem Santa Godeberta odciętym od morza, kapitan portu i jego strażnicy wdrapali się na jej przedni pokład.

Z ładowni wytoczył się spocony, bez koszuli, schorowany mężczyzna. Upadł na najbliższą ścianę i zsunął się na pokład. Zgarbił się, kiwając głową jak pijany. Marynarz. Oczodoły jego oczu były ciemne i zdawały się posiniaczone, podobnie jak koniuszki palców. Strażnicy portowi krążyli wokół niego, podczas gdy inni wlewali się do ładowni statku.

Kapitan portu wskazał palcem ponad głową. „Odetnijcie żagle! Ten statek stoi!” Kilku kowali wdrapało się na takielunek. Podszedł do spoconego mężczyzny i krzyknął: „Gdzie jest kapitan tego statku?”. Odwrócił się do wejścia do ładowni i wrzasnął: „Cała załoga na pokład! Wyprowadźcie ich!”. Odwrócił się z powrotem do brudnego mężczyzny. „Kto dowodzi tą flotą?”

Mężczyzna odpowiedział w sposób majaczący w gorączce: „Nie ma kapitana – nie ma floty – tylko ocean. Ocean twierdzi, że wszyscy zginęli – wszyscy zginęli”.

Kowal szepnął kapitanowi do ucha: „On z pewnością jest pijany”.

Kapitan portu kontynuował przesłuchanie. „Jak się nazywa ten statek? Ta flota płynie do Genui, tak?” Przyjrzał się piętrowemu ładunkowi. Rzucił okiem na pokłady pozostałych jednostek. „Wasze statki są załadowane po brzegi. Jak utrzymaliście je na powierzchni, tylko Bóg jeden wie. Skąd wzięliście ten cały ładunek?”

Mężczyzna zdołał wykrztusić odpowiedź: „Statek płynie — Santa Godeberta — z Kaffi do Genui”.

Kapitan wydał dwóm swoim ludziom rozkaz: „Postawcie go na nogi. Dajcie mu trochę powietrza”. Zwrócił się do drugiego, który stał obok: „Nabierzcie wiadra wody. Otrzeźw go”. Kapitan pokręcił głową i mruknął: „Kaffa... z tym ładunkiem?”. Spojrzał na związane towary pokrywające niemal każdą część pokładu i dostrzegł czarnego szczura przemykającego między beczkami. skrzyżował ramiona. „Nie za tysiąc lat”.

„Kapitanie!” – zawołał głos z wnętrza ładowni statku. „Jest tu zaledwie pięciu ludzi, a ładownia jest strasznie przepełniona”. Kapitan portu wpatrywał się w ładownię.

Mężczyzna wyszedł z wejścia i otarł pot z czoła. Kontynuował: „Kapitanie, ci ludzie są chorzy – wręcz chorzy. Będziemy musieli ich zanieść”.

Dwóch strażników sięgnęło pod ramiona brudnego marynarza i podniosło go na nogi. „Argh!” krzyknął mężczyzna i bezwładnie osunął się na ziemię. Zaskoczeni strażnicy zrzucili go na pokład, a nieprzytomny leżał rozciągnięty, z rękami nad głową, odsłaniając dwie czarne, spuchnięte masy, niczym zgniłe jabłka, które wystawały spod pach. Pęknięte spuchnięcia wyciekały, a mieszanka ropy i czarnej krwi rozlała się po pokładzie. Strażnicy wytarli ręce o nogawki spodni. Z ich wnętrza wydobywał się zjeżdżały odór. śpiący marynarz. Kapitan zakrył nos i usta dłońmi i cofnął się. „W imię Boga!”

Potem odwrócił się i krzyknął: „Opuście statek! Niczego nie dotykajcie! Na pokładzie jest zaraza!” Strażnicy pobiegli w stronę dziobu statku, podczas gdy kowale zbiegali po olinowaniu, niektórzy skacząc na główkę do wody.

W krótkim czasie, który nastąpił, wszystkie dwanaście statków zostało zabezpieczonych na lewej burcie, strzeżonych przez setki uzbrojonych żołnierzy, którym przydzielono rozkaz zatrzymania, nawet z użyciem śmiercionośnej siły, każdego, kto próbował wejść na pokład lub z niego zejść. W ciągu zaledwie jednego dnia pogłoski o skażonych statkach rozeszły się po Mesynie.

Drugiego dnia załogi floty poprosiły lekarzy o wejście na pokład i zajęcie się chorymi. Władze miasta zgodziły się tylko pod warunkiem, że lekarz po wejściu na pokład statku musi pozostać na pokładzie. Żaden z lekarzy miasta nie wyraził zgody. Władze portu przesłały żywność i wodę w wiadrach na linach. Po opróżnieniu wiadra pozostawały na statkach. W ten sposób podjęto wszelkie środki ostrożności, aby zapewnić kwarantannę statkom.

Trzeciego dnia odór śmierci uniósł się nad dokiem, przyniesiony w głąb łądu przez morską bryzę. Lekarze ostrzegli strażników, nakazując im wycofanie się z obawy przed wiatrem, który przenosił zarażenie na statkach. Gdy strażnicy oddalili się od statków, nad dokiem zapadł cichy zmierzch, a szczury, gnane pragnieniem, zebrały się na odwagę, by zejść po cumach statku, po linach cumowniczych i na dok, tylko po to, by czmychnąć i dołączyć do swoich kuzynów – szczurów portowych.

Szóstego dnia wielu strażników zachorowało. W porcie zebrał się rozwścieczony tłum, a władze miasta nie miały innego wyjścia, jak tylko nakazać dwunastu statkom opuszczenie portu wraz z ładunkiem, aby nie spłonęły. Widząc szybki zysk i swobodę żeglugi do innych portów europejskich, stacjonujący marynarze z Genui, Marsylii, Korsyki i Sardynii zgodzili się podzielić się cennym ładunkiem floty w zamian za obsługę statków wychodzących z portu i płynących do różnych miast nadmorskich.

A siódmego dnia port wypłoszył statki w morze. Natychmiast Czarna Flota Śmierci została rozwiązana, a większość jej statków skierowała się do portów innych niż Genua. Ich niegdyś zatłoczone pokłady były puste – pasażerowie i załoga, jeden po drugim, wyrzucali za burtę każdego z dotkniętych zarazą ludzi, aż żaden z nich nie przeżył podróży.

Na pierwszy rzut oka niepozorna Mesyna już leżała potępiona, ponieważ, mimo oczyszczenia portu z genueńskich statków, zaraza Gatestone wciąż czaiła się w cieniu pod jej dokami. Na grzbietach zarażonych szcurów portowych siedziały równie zarażone pchły, ciężowe z chorobą. Ich żołądki były niczym maleńkie łona piekła – w pełnym połogu – gotowe do wydania swoich diabelskich mikstur. I diabelskie zło ewoluowało. W ciągu kilku tygodni niegodziwa matka Łazarza przemieniła całą ludność Mesyny w owocny sad z zaraźliwymi czarnymi jabłkami – dojrzałymi śmiercią i pełnymi o jej wrywanie.

Tak więc Wielka Zaraza wyszła z doków i wdarła się w głąb lądu, pozostawiając po sobie jedynie zrujnowany szkielet miasta. Zaraza rozgorzała, przekształcając się w pełnowymiarowy pożar, gdy nadeszła ostatnia godzina Europy .

Ujście Góry

Minęły ponad trzy tygodnie, odkąd Lazarus po raz pierwszy przybył do Mountain Mouth. W tym czasie jego ciało stwardniało, nabrało muskulatury, a ciężar, który stracił w ramionach i nogach, przeniósł się jedynie na cięższe, umięśnione skrzydła. Krótkie loty między kamiennymi posadzkami ewoluowały w dłuższe loty na większych wysokościach. Nie wspinał się już po ścianie na skalną półkę przy dachu; zamiast tego leciał bezpośrednio do niej. Zbierał drewno na opał nie obchodząc Mountain Mouth dookoła, ale przelatując nad jego grzbietem i z powrotem. Mimo to, nawet z tymi nowymi umiejętnościami, nie był w stanie odbyć podróży do włoskiego klasztoru. Nawet krótkie loty wymagające jakiegokolwiek wysiłku, takie jak zbieranie drewna, zapierały mu dech w piersiach. Wiedział też, że aby przepłynąć Zatokę León na Korsykę lub z wyspy na kontynentalną część Włoch, musiał udowodnić, że jest w stanie utrzymać się w powietrzu przez co najm

Z północy nieustannie wiał przenikliwy chłód. Dolina kamieni była pokryta cienką warstwą lodu, pozostałą po nocnym deszczu ze śniegiem. W grocie leżał Łazarz. śpi, zwinięty w kłębek przy dogasającym ogniu, jego miarowe wydechy tworzą mgłę w lodowatym powietrzu. Na górze dla niego połowa sufitu była pusta, a nietoperze gromadziły się pod wyższym tylnym dachem grota.

Lazarus jęknął i zwinął się w kłębek. Nadal śpiąc, jego uszy nastawiły się i przeszukały jaskinię w poszukiwaniu nowego dźwięku, który odbijałby się echem od ścian. Otworzył szeroko oczy; jego ogromne źrenice skurczyły się do czarnych kropek na niebieskim tle.

„Świnia?” krzyknął, podciągając się do pozycji siedzącej. Ziewnął, szczerząc kły i potarł twarz. „To ty?” W odpowiedzi rozległo się prychnięcie. „Nie teraz, świniou. Jestem wykończony”. Łazarz przeszukał ciemność, tylko po to, by odkryć dziką grzebiącego w worku z prowiantem. „Świnia! Nie!” Łazarz zerwał się na równe nogi i pobiegł w stronę dzika. „Wynoś się stamtąd!” Zwierzę uniosło głowę z worka, z pulchnym mięsem w zębach. Zaskrzeczało i wybiegło z jaskini z kęsem.

„Niech tak będzie” – wyrzucił z siebie Łazarz, gorączkowo przeszukując zawartość worka. Wyciągnął fiolkę z krwią i zbadał ją. Poza cienkim pęknięciem wzdłuż boku, naczynie pozostało szczelne i nienaruszone. Z ulgą, w tej chwili przyszła mu do głowy kolejna myśl i przekartkował worek, odkrywając, że dzik ograbił go ze wszystkiego, co miał do zjedzenia.

„Świnia!” krzyknął. Lazarus wyjął z worka małą skózaną torbę i włożył do niej manierkę i inne przedmioty, które uznał za wystarczająco ważne, by trzymać je blisko siebie. Potem rzucił się z powrotem do dogasającego ognia. „Dlaczego?” Postawił sakiewkę obok siebie i dorzucił świeżego drewna do ognia. „Podzieliłem się z tobą jedzeniem!” Rzucił więcej drewna na żarzące się węgle i krzyknął w stronę wejścia do groty – jego głos niósł się echem. Przez dziuplę jak dzwon przez mgłę: „Nie kradnij!” Kilka nietoperzy wzbiło się w powietrze, krążąc wokół jaskini, gdy tłące się polana stanęły w płomieniach. Łazarz wpatrywał się w ogień.

Kolejny tydzień powoli mijał, gdy świeży opad śniegu pokrył Górskie Ujście. W tym czasie Łazarz rozciął tył szaty tak, że skrzydła zwisały na zewnątrz. Wrócił również do noszenia maski. Te zmiany były konieczne, aby móc okrążyć grzbiet Górskiego Ujścia na dłuższy dystans bez zamarzania. Dzięki nim udało mu się utrzymać w powietrzu przez prawie trzy godziny. Jednak nawet trzy godziny nie wystarczyły, aby przepłynąć morze. Zbliżająca się zima i brak jedzenia sprawiły, że Łazarz w końcu padł z głodu, zmęczenia i przenikliwego zimna. Kulminacja tych nieznośnych warunków zmusiła go do powrotu do groty – aby ponownie rozważyć swoją obietnicę.

Nastał wczesny poranek, a wraz z nim morze gwiazd tonących – umierających na szkarłatnym niebie. W grocie, ospały Łazarz ponownie rozpalil ogień i położył głowę. Wyjrzał przez niemal pusty sufit – pozostała zaledwie ćwierć nietoperzy. Leżał tam, zastanawiając się, czy odlecieć z powrotem do opactwa; skrada się w noc i wraca do jaskini, uzupełniwszy zapasy żywności.

Wciągnął powietrze, w którym unosił się znajomy zapach. Żołądek ścisnął mu się w supeł. Łazarz wdrapał się na podłogę, uniósł ciężki głaz, rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze. Krążył po grocie, wpatrując się w wejście do korytarza.

Nieświadomy obecności Łazarza, dzik wszedł do środka, poruszając się cicho i powoli zмирzając w kierunku pustego worka z prowiantem Łazarza. Następnie zwierzę wsadziło głowę do środka. Łazarz rzucił się z kamieniem i uderzył go w głowę. Dzik zaskrzeczał, a nietoperze wystrzeliły z sufitu.

Dzik wytoczył się z grotu. Zgłodniały, uniósł kamień i ruszył w pogoń. Razem wybiegli z jaskini i pomknęli przez dolinę kamieni. Łazarz dogonił kwiczącego dzika, gdy obaj pokonali grzbiet grzbietu i zeszli po jego wschodnim zboczu. Zdezorientowany dzik zatrzymał się i odwrócił do niego, wymachując kłami. W tym momencie kamień Łazarza trafił w cel – dzika już nie było.

Zdyszany i wyczerpany, Łazarz chwycił świnię za zadnie kopyto i powłókł ją na grzbiet, w stronę jaskini. Dopiero gdy zbliżył się do jej szczytu, zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Uniósł twarz, mrużąc oczy w palącym, czerwonym blasku świtu, i teraz w pełni świadomy, że stoi na zewnątrz jaskini, gdy słońce wschodziło. Gorączkowo przeciągnął dzika przez szczyt i z powrotem po zacięzionym zboczu. Uderzenie za uderzeniem, Łazarz ciągnął świnię po wyschniętym korycie rzeki, torując sobie drogę przez śnieg w stronę jaskini. Śnieg zalegał na świni i topniał w futrze wciąż ciepłego zwierzęcia. Chwile przelatywały mu przez palce niczym sznur pszczoł. Słońce wspinało się jeszcze wyżej, gwiazdy tonęły w jego ogniu. Poparzenie słoneczne swędziało go po odsłoniętej skórze, ale z resztkami sił Łazarz parł dalej – krok po kroku, metr po metrze, ignorując ból.

W końcu dotarł do wejścia do jaskini i zaciągnął dzika w jej mroczne głębiny. Pierwsze promienie palącego słońca rozświetliły horyzont. Łazarz walczył, gorączkowo ciągnąc i szarpiąc mokre i ciężkie zwierzę jeszcze głębiej w ciemność. Tylne części świni Noga zahaczyła o skałę w dnie jaskini; Łazarz ją wyciągnął. Wstał i przygotował się na kolejne szarpnięcie, gdy cienki czerwony promień światła – nic nie szersza niż pajęczyna – przebił się przez odległą szczelinę na szczycie grzbietu odległego wschodniego grzbietu. Linia szkarłatnego światła przecięła dolinę kamieni, wnikając w ujście. Wszedł do jaskini i odbił się od mokrego tylnego kopyta dzika. Następnie promień zmienił kurs, wspinając się w górę od stopy dzika, aż w końcu trafił Łazarusa prosto w oko.

Chłopiec puścił dzika i rzucił się w cień. Wił się i

krążył po podłodze jaskini, jakby próbował uciec przed chmarą wściekłych os. „Och Boże! Ach! Ach!”

Siarkowy dym i szary popiół buchały z każdej części jego ciała, a zakurzona, żółta mgła rozlewała się ciężko na podłogę jaskini. Czołgając się na oślepi i machając rękami, podniósł się na nogi i powlókł się w głąb jaskini, tak samo jak zdezorientowana świnia wytoczyła się z niej. Żółtawy popiół ciągnął się za Łazarzem, gdy śmigał korytarzem i wpadał w najciemniejsze głębiny groty.

„BOŻE! SYK!” Załamał się i potoczył po swoim prowizorycznym worku z prowiantem. „KRZYK!” Spłoszone nietoperze wystrzeliły z sufitu i zatoczyły koło nad nim. Teraz turlały się i drapały po podłodze jaskini, naciągając na niego worek, chwytając wszystko i wszystkich – nic, co mógł zebrać, poruszyć lub zrobić, nie mogło cofnąć tego, co się stało. Żadna sakiewka, modlitwa ani obietnica nie mogły odwrócić rozwijającego się i niewzruszonego biegu wydarzeń, dla Groteski, niegdyś spalonej słońcem. Dymiąca postać naciągnęła na niego worek z prowiantem, po czym usiadła prosto, opierając się na jednym ramieniu. Jej wyjąca twarz zwrócona ku sufitowi, drżąca z coraz bardziej twardniejącego i kruchej oblicza, wydała ostatni, umierający jęk: „OJCZE!” Kolor odpłynął, odsłaniając stwardniałą powierzchnię, szarą jak granit. W Po rozwiewającym się mchu pozostała szczegółowa figura martwego Łazarza – nawet jego kości zamieniły się w kamień. Posąg przechylił się i upadł, z jednym skamieniałym ramieniem uniesionym w niebo, z palcami rozłożonymi, jakby sięgał do Ojca, którego wzywał. A kiedy ostatnie szczątki z opadłego kurzu i żółtawego żwiru grota powróciła do swojego niemal nieskazitelnego, kryptopodobnego stanu, z wyjątkiem sporadycznego trzepotu wyrwanego nietoperza, trzaskających płomieni żywego ognia oraz granitowego kamienia okrytego zakurzoną i popielatą szatą giermka.

[Koniec rozdziału 10]



To dzieło literackie zostało stworzone d wyłącznie w dedykacji

Edgar Allan Poe (1809—1849)

— Niech jego dziedzictwo żyje w nas wszystkich —



~[GothicNovel.Org](https://www.gothicnovel.org)~